

# Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA

11 przez Maurycego Leblanc

Wreszcie w jednym kącie, w rogu między sąsiednimi murami, mały wzgórek z gruzów i kamieni, pokryty chwastem i zielskiem, zwrócił jego uwagę. Począł go rozkopywać.

Musiałem mu pomagać. Całą godzinę na spiekocie słonecznej pracowaliśmy bezskutecznie. Ale, kiedy odrzuciwszy kamienie, dotarliśmy do samej ziemi i gdyśmy ją kopać zaczęli, motyka Daspry'ego wyrzuciła na wierzch kości, resztki szkieletu, przy którym trzymały się jeszcze strzępy ubrania.

I nagle poczułem, że błędę. Ujrzałem wbity w ziemię małą tabliczkę żelazną, wykrojoną w formie prostokąta, na której wydało mi się, że spoglądam plamy czerwone. Schyliłem się niżej. Nie omyliłem się: tabliczka miała rozmiary karty, a plamy czerwone z minium, gdzieś tam już przez rdzę strawione, w liczbie siedmiu, rozmieszczone były jak znaczki siódemki kierowej i przedziurawione w każdym ostrzu znaczka.

— Słuchaj Daspry, mam dosyć tych wszystkich historii. Tem lepiej, kiedy cię zajmują. Ja psuję ci tylko towarzystwo.

Czy to było wzruszenie, czy zmęczenie po pracy na dojmującym słońcu, dość, że chciałem się idąc i musiałem położyć się do łóżka. Przeleżałem dwie doby rozpalony, gorączkujący, męczony widmami szkieletów, które dokoła mnie tańczyły, rzucając mi na głowę swe krwawiące serca.

\* \* \*

Daspry pozostał mi wiernym. Udzielał mi codzień po trzy, cztery godziny, które spędzał co prawda w wielkiej sali, szperając, pukając, próbując.

— Listy są tu, w tym pokoju — mówił do mnie od czasu do czasu — tu są, dałbym za to głowę.

— Dajże mi spokój — odpowiadałem ze zjeżonymi włosami.

Na trzeci dzień rano wstałem dość jeszcze osłabiony, ale już zdrowy. Pożywne śniadanie znacznie mnie wzmocniło. Ale do reszty wrócił mi siły mały liścik, który otrzymałem około piątej wieczorem, tak dalece na nowo i mimo wszystko rozpalili moją ciekawość.

Kartka zawierała te słowa:

„Panie!

„Dramat, którego akt pierwszy rozegrał się w nocy między 22 i 23 czerwca, zbliża się ku końcowi. Sama siła rzeczy wymaga, aby dwie główne osoby tego dramatu stanęły wobec siebie i aby spotkanie to nastąpić mogło u pana. Byłbym zatem nieskończenie wdzięcznym, gdybyś mi pan użyczył mieszkania swego na dzisiejszy wieczór. Dobrze byłoby, gdybyś pan usunął z domu służącego na czas między dziewiątą a jedenastą; byłoby też pożądanem, gdyby i pan sam był na tyle uprzejmym i zechciał pozostawić wolne pole przeciwnikom. Proszę sobie uprzytomnić, jak daleko w noc z 22 na 23 czerwca posunąłem moją uwagę i szacunek względem wszystkiego, co się pana tyczyło. Sądzę, że ubliżyłbym panu, wątpiąc choćby na jedną chwilę o pańskiej zupełnej dyskrecji względem pańskiego sługi.

Salvator”

W całej odezwie był ton tak eleganckiej ironii, a w wyrażonej prośbie tyle pięknej fantazyi, że wprost rozkoszowałem się listem. Biła z niego jakaś przesliczna brawura i piszący zdawał się być pewnym mego przyzwolenia. Za nic w świecie nie chciałyby uczynić mu zawodu, albo na jego ufność odpowiedzieć niewdzięcznością.

O ósmej wieczorem, zaledwo mój służący, któremu dałem bilet do teatru, wyszedł z domu, przychodzi Daspry. Pokazuje mu list.

— Więc jakże? — pyta.

— Zostawiłem otwartą kratę do ogrodu, aby można było wejść.

— A sam wychodzisz?

— Nigdy w świecie!

— Proszę tu wszakże...

— Proszę mnie o dyskrecję i będę dyskretny, ale muszę wiedzieć koniecznie, co się tu dzieć będzie...

Daspry zaczął się śmiać.

— Słowo daję, masz słuszość. Zostanę i ja. Mam przecucie, że nie będziemy się nudzili.

Odgłos dzwonka przerwał mu dalsze słowa.

— Już oni! — szepnął — dwadzieścia minut wcześniej, to niemożliwe!

Pociągnąłem sznur z przedpokoju, krata się otworzyła. Jakaś sylwetka kobieca przesunęła się przez ogród: pani Andermatt.

Weszła wzburzona ogromnie, zdyszana, ledwo wyjąkać zdołała:

— Mój mąż... nadchodzi... ma tu spotkanie... mają wręczyć mu listy...

— Skąd pani wie o tem?

— Przypadkiem. Jedno słówko, które wczoraj mąż otrzymał.

— Mały bilecik?

— Telefonicznie. Służący przez pomyłkę mnie go oddał. Mąż wziął z rąk moich natychmiast, ale już było zapóźno... Przeczytałam.

— Przeczytała pani?

— Mniej więcej tak było: „Dzisiaj wieczorem o dziewiątej proszę przyjść — bulwar Maillot — z dokumentami, dotyczącymi sprawy. W zamian listy“. Po obiedzie wysunęłam się do swego pokoju i oto jestem.

— Pan Andermatt nie wie?

— Nie wie.

Daspry popatrzył na mnie.

— Co myślisz pan o tem?

— Myślę to, co i pan: Andermatt jest jednym z zaproszonych przeciwników.

— Przez kogo i w jakim celu?

— O tem właśnie dowiemy się.

Zaprowadziłem ich do wielkiej sali. Mogliśmy tam od biedy ukryć się we troje za kominkiem, przysłoniętym aksamitną zasłoną. Usiedliśmy; pani Andermatt usiadła także między nami. Przez szpary zasłony mogliśmy widzieć dokładnie całą salę.

Wybiła dziewiąta. W kilka minut potem krata ogrodu skrzypnęła na zawiasach. Wyznaje, że nie byłam wcale obojętnym i gorączka na nowo rozpałać mnie zaczęła. Jestem zatem wobec słowa tej zagadki! Te wydarzenia zdumiewające, które w ciągu całych tygodni rozwijały się przed memi oczyma, ujawniają się na koniec w całej swej rzeczywistości, i oto przedemną stoczy się ostatnia walka!

Daspry, chwytając za rękę panią Andermatt, wyszeptał:

— Przedewszystkiem nie ruszyć się! Cokolwiek pani zobaczy lub posłysz, proszę pozostać niewzruszoną!

Ktoś wszedł; po wielkiem podobieństwie z bratem poznałem Alfreda Varin. Ten sam chód ciężki, ta sama twarz ziemista, zarosła broda. Wygląd miał niespokojny, jak człowiek, który przywykł obawiać się wszędzie zasadzek, węszyć je i unikać. Jednym rzutem oka obrzucił całą salę i doznałem wrażenia, że nasz kominek, przysłonięty aksamitną firanką, jest mu nieprzyjemnym. Uczynił ku nam trzy kroki. Ale jakaś myśl, zapewne ważniejsza, zwróciła go z drogi: przyszedł do ściany, stanął przed starym królem mozaikowym z barwną brodą, z płomienistym mieczem, przyglądał mu się długo, wstąpił nawet na krzesło, wodził palcem po konturach ramion i twarzy, naciskał niektóre części obrazu.

Naraz zeskoczył z krzesła i oddalił się od ściany. Szmer kroków dał się słyszeć. Na progu ukazał się pan Andermatt.

— To pan! pan? — wykrzyknął zdziwiony. Pan mnie tu wezwał?

— Ja? Wcale nie — odrzekł Varin, a głos jego rozbity przypominał mi żywo jego brata — ja przyszedłem wezwany pańskim listem.

— Moim listem?

— List z pańskim podpisem, gdzie mi pan ofiarujesz...

— Nie pisałem do pana.

— Pan nie pisał?

I Varin instynktownie stanął pod bronią, nie przeciw bankierowi, ale przeciw temu nieznanemu wrogowi, który wciągnął go w zasadzkę. Po raz drugi oczy jego zwróciły się w stronę naszej firanki i nagle skierował się do drzwi.

Pan Andermatt zastąpił mu drogę.

— Cóż chcesz pan zrobić?

— Jest w tem machinacja, która mi się nie podoba. Wychodzę. Do widzenia.

— Chwilę jeszcze!

— Proszę pana, nie zatrzymuj mnie pan, nie mamy sobie nic do powiedzenia.

— Mamy sobie dużo do powiedzenia i sposobność właśnie jest najlepsza.

— Pozwól mi pan wyjść.

— Nie, nie, nie! nie wyjdiesz pan.

Varin, onieśmielony stanowczą postawą bankiera, cofnął się i wykrztusił:

— Więc prędko! mówmy i niech się to raz skończy!

Jedna rzecz mnie tu dziwiła i nie wątpię, że moi towarzysze odczuwali także zawód. Jak się stało, że Salvatora tu nie było? Czy nie leżało w jego zamiarach wnieść się w tę sprawę? Czy wydała mu się dostateczną, prosta konfrontacja bankiera z Varinem? Czułem się ogromnie tem wstrząśnięty. Z powodu jego nieobecności pojedynek ten, wymyślony przez niego, stał się tragicznym biegiem wypadków, które wznieca i którymi kieruje surowa dłoń przeznaczenia, a siła fatalna, stawiająca tych ludzi przeciw sobie, była tem bardziej przerażająca, że nie tkwiła w nich, lecz poza nimi.

Andermatt blisko przystąpił do Varina i twarzą w twarz, oko w oko spytał:

— Teraz, kiedy całe lata już przeszły, kiedy nie masz czego się obawiać, powiedz mi otwarcie, Varinie, coście zrobili z Ludwikiem Lacombe?

— Także pytanie! Cóż ja mogę wiedzieć, co się z nim stało?

— Wiesz, wiesz! Ty i twój brat przyczepiliście się do niego jak cień, mieszkaliście prawie u niego, tu, w tym domu, gdzie jesteśmy w tej chwili. Zналиście wszystkie jego prace, wiedzieliście o wszystkich jego zamiarach. I ostatniego wieczora, kiedy przyprowadziłem go aż do progu mego domu, spostrzegłem dwie postacie, które usunęły się w cień. Jestem tego tak pewny, że mógłbym przysiąc.

— A dalej co?

— To byliście wy — ty i twój brat.

— Czem pan tego dowiedziesz?

— Najlepszy dowód, że we dwa dni potem przynieśliście mi papiery i plany Lacombe'a, zabrane z jego teki, i chcieliście mi je sprzedać. Jakim sposobem znaleźliście się w posiadaniu tych papierów?

— Mówiłem już to panu, panie Andermatt, znaleźliście je na stole samego Lacombe'a nazajutrz rano po jego zniknięciu.

— To nieprawda!

— Dowiedz pan tego!

— Są dowiodłby.

— A dlaczego nie zwróciłeś się pan do policji?

— Dlaczego? hm, dlaczego...

Twarz mu spochmurniała; zamilkł. A Andermatt mówił:

— Widzi pan, gdyby szanowny pan miał chociaż odrobinę pewności, nie zatrzymałaby pana ta mała pogroźka.

— Jaka pogroźka? Listy? Czy wyobrażasz pan sobie, że wierzyłem chociaż przez chwilę?...

— Jeśli pan w nie nie wierzył, to dlaczego ofiarowywał pan setki i tysiące, aby je wykupić? I poco potem kazałeś pan nas ścigać, mnie i brata, jak dzikie zwierzęta?

— Abyście oddali plany, o które mi szło.

— O, wcale nie! Szło panu o listy. Skoro tylko dostałbyś je w ręce, zadenuncyowałbyś pan nas. Tem prędzej, im łatwiej byś je złapał.

Parsknął śmiechem, ale pohamował się natychmiast.

— Ale dosyć już tego. Będziemy ciągle kręcić się w kółko i nie posuniemy się ani kroku naprzód. Prawdopodobnie zostaniemy, gdzie jesteśmy.

— Nie pozostaniemy — odparł bankier — a ponieważ mówisz pan o listach, nie wyjdiesz stąd, zanim mi ich nie oddasz.

— Wyjdę!

— Nie!

— Posłuchaj pan, radzę panu...

— Nie wyjdiesz stąd!

— To zobaczymy! — powiedział Varin z takim akcentem złości, że pani Andermatt nie mogła powstrzymać się od łecintkiego okrzyku.

Varin musiał go posłyszeć, bo chciał przebojem utorować sobie drogę. Pan Andermatt odepchnął go gwałtownie. Wtedy spostrzegłem, że ręka Varina wsunęła się do kieszeni żakietu.

— Po raz ostatni! — zawołał.

— Pierwej listy!

Varin wyjął rewolwer i zmierzył w pana Andermatta.

— Tak, czy nie?

Bankier pochylił się szybko.

Rozległ się wystrzał. Broń upadła.

Stałem zdumiony. Wystrzał padł koło mnie. To Daspry wystrzałem z pistoletu wytrącił broń z ręki Varina.

I nagle, stanawszy między dwoma przeciwnikami, zwrócony do Varina, zawołał szyderczo:

— Zapędzasz się przyjacielu, straszliwie się zapędzasz. Mierzyłem w rękę, a kula trafiła w rewolwer.